

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 26 sierpnia 1916 roku.

Nr 35

Dziwna książka.

(Feliks Brodowski. *Respha*. Opowieści).

Na wiosnę roku bieżącego, pod niebem zasepionem, czarnem, łuną pożarów okrwawionem i chmurzy-skami, przy huku pękających szrap-neli, wywracających się domów i świątyń, ukazała się książka, będąca samą ciszą. Gdyby słowo posiadało tę moc, jaką mu Pismo Święte przy-znaje „na początku“, książka ta — w innych nieco okolicznościach, przy mniejszem rozkołysaniu się oceanu międzyludzkich i międzynarodowych nienawiści — spełniłaby rolę oliwy, na wzburzone fale wylanej: uśmie-rzyłaby je. Ale dziś słowo książek, o ile nie poszło w służbę bojującej polityki, jest ledwie dosłyszalnym, lub nawet zgoła niedosłyszalnym szeptem. Cóż zdziała szept przy ry-ku 42-centymetrowców?

Feliks Brodowski, pisarz prze- duchowiony, czuły, głęboki, nie po raz pierwszy przemawia do czytają-cej Polski — w żadnej jednak ze swych książek poprzednich nie wy-raził się tak całkowicie, nie osiągnął takiej mocnej harmonii myśli i wy-słowienia, jak w tym zbiorze dziesię-ciu arcydziełek, na którego tytule położył imię bohaterki biblijnej, uro-czej żony Samuelowej, Resphy.

Cisza, wyblękitniająca wszyst-kie karty „Resphy“, nic w sobie nie ma z sennego, leniwego, bezwładne-go kwiatyzmu. Jest to ta cisza, o której powiedział Goete, że „spoczy-wa na szczytach“ — równoznaczna pokojowi, zwiastowanemu przez a-

niola Betleemskiego „ludziom dobrej woli“. Jest to cisza zbożna, w Bo-gu mająca swe źródło i do Boga wio-dąca.

A niech nikt nie sądzi, że autor „Resphy“ jest moralistą - teorety-kiem i kaznodzieją, który tłumowi wydaje się zawsze, w mniejszym lub większym stopniu, „nudnym“. Prze-ciwnie, nie wychodzi on nigdy z roli zajmującego opowiadacza, i o ile nie sięga po temat do Biblii (co czyni z upodobaniem), maluje otaczające go życie w jego formach najprostszych, najpotoczniejszych. Ale gdy ta pro-stota i ta potoczność przejdą przez pryzmat jego duszy, nabierają szcze-gólnego wdzięku i solenności.

W krótkim obrazku przedstawia naprzykład śmierć konia — zwykłego chłopskiego konia, „starej szkapy z zapadniętymi bokami, skrzywionymi nogami, szerścią gdzieś gdzieś po-wycieraną od niewygodnej uprząży, śladami strasznej oparzelizny na za-dnich nogach, oblanych kiedyś kwa-sem siarczanym ze spadłej z wozu butli“. Jest to głęboko wzruszające a w zakończeniu uroczyste, jak hymn kościelny.

Nawet chwila najbliższa nam, bieżąca, to, co w gwarze dziennikar-skiej zwie się „aktualnością“, znalaz-ło w książce Brodowskiego odbicie. Opowieść p. t. „W piwnicy“ przed-stawia pełen grozy epizod ostrzeli-wania wsi kościelnej przez jedną z armii walczących. I tu ponad pie-

kłem wojennem unosi się atmosfera kojącej, wiekuiestej ciszy, a przez zasłonę dymów armatnich przeziara symbol wiekuiestej mocy twórczej: słońce.

W określeniu: cisza i słońce za-mknąć się da cały charakter książki i autora. Czytajcie książkę, pozna-wajcie autora — będzie to dla was z korzyścią.

Według pogańskiej, nieubłaganej starych teutonów legendy, bój zakończony na ziemi toczą w dalszym ciągu duchy poległych wojowników w powietrzu. Obawiać się można, że okropności dzisiejszej wojny, już po jej ustaniu, przedłużać będzie — literatura...

Stać się jednak może — *Deo suavente* — inaczej.

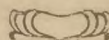
Gdy Wielka Rewolucja francu-ska potokami krwi zalała kraj cały, zdawało się, że już ludzie bez wido-ku krwi i bez wrażeń szarpiących nerwy żyć nie będą mogli. Pojawiła się wówczas przesłodka sielanka Bernarda de Saint-Pierre: *Paul et Virginie*. Cała Francja rzuciła się do niej, jak mdlejący od żaru i pra-gnienia wędrowiec do źródła wytry-skującego w oazie...

Pragnąć należy, aby powtórzy-ło się to i teraz i aby książki w ro-dzaju „Resphy“ zdobyły sobie po-czytność.

Albowiem wiele złego stąd ply-nie, że ludzkość, konwulsyami niena-wiści i chciwości miotana, nie odpo-wiedziała dotąd na pytanie poety:

A Bóg?... Cóżście zrobili z Bo-giem?

Wiktor Gomulicki.



Przerwana idylla.

4

— Tak—szepnęła, patrząc w dal zamglonym tęsknoty wzrokiem. I ja też tak myślę i w to wierzę. I dlatego wiem, że między mną a Trusią nie wszystko jeszcze skończone i że kiedyś, kiedyś, może niedługo, a może dopiero...

Nie dokończyła, zawieszając głos, przepojony żalem. Dopiero po długiej chwili dodała prawie niedostyśzalnym szeptem:

— ...Po śmierci zobaczymy się znowu.

Morawski zaczął ją pocieszać, jak dziecko, żartobliwą dobrocią:

— Poczóż tak czarne myśli pani pielegnuje? Wróci pani do Warszawy, pozna go bliżej, pokocha jeszcze bardziej, przedstawi wujowi, a potem wyjdzie za mąż. Jeszcze do tej pory niema powodu do rozpacz. Często przynajmniej pisuje do pani ten niecnota? — zapytał w końcu, uśmiechając się mimowoli na widok jej ponurej rozpacz.

— Nie pisuję wcale — odpowiedziała.

— Wcale? Dlaczego?

— No, bo mnie nie kocha! Przecież już panu mówiłam, że to ja go właściwie Kocham, a on — och, on myśli tylko o tamtej! Ale niema o czem mówić! — zawołała nagle, powstając. — Chodźmy, bo wuj się pewno okropnie niecierpliwi.

Morawski, opierając się na kiju, wstał. Objął jej dziecianną, śliczną twarz swoim badawczym spojrzeniem i zapytał poważnie:

— Panno Haniu. Znała go pani miesiąc cały, chodziliście na spacer — bezwątpienia, dałaś mu do zrozumienia, że nie jest ci obojętny — i nie wiesz, jak się nazywa i kim jest? Jakto być może?

— No, tak się jakoś złożyło. Kiedy się przedstawił, naturalnie powiedział jakieś nazwisko, ale ja zaraz zapomniałam. A potem, to już mówiłam Trusiu. I tak zeszło do wyjazdu, kiedy zaś wyjeżdżałam — on mi otwarcie powiedział, że pisywać nie będzie... bo...

— Bo co?

— Bo się pogodził ze swoją narzeczoną — i nie ma już czasu...

— Tak powiedział?

— No, przecież panu mówię. Ale to bardzo uczciwie z jego strony, że nie chce tamtej oszukiwać... Powiedziałam mu to nawet sama, chociaż tak mi było przykro, tak coś czegoś... Och! cały czas w pościgu płakałam, jak głupia. Bo, widzi pan, niech pan tylko wujowi nie mówi — ale ja go bardzo Kocham.

Morawski ujął jej rękę w swoją dużą, grubą dłoń i scisnął serdecznie.

— Moje kochane, biedne dziecko!... — rzekł — Masz prawo dziwić się dlaczego po tej pięknej ziemi chodzą tacy głupcy, jak ten twój znajomy! — Ale trudno! Nigdy nie wiemy, gdzie i kiedy przechodzimy koło swego szczęścia. Często mijamy je unyślnie, nie przeczuwając nawet, co się ukrywa pod zwodniczą maską!... Dlatego niech mu pani wybaczy, że wrócił do tej swojej megery, która mu każe przynosić dla siebie pieniądze z szulerni — i odszedł od pani tak obojętnie. Biedny, nieszczęśliwy człowiek!

— Och, pan go za surowo sądzi, — rzekła dziewczyna — Przecież ja nie mogę do niego mieć żalu, że kocha tamtą a nie mnie. Wiedocznie tamta jest ładniejsza, a może tylko... szczęśliwsza!...

Szli wąską dróżką między zbożami, rzucając długie cienie na drogę żalaną słońcem. Była to chwila przedwieczorna, brzemienna zapachem macierzanki, rosnącej po zrębach wąskiej między, objęta słodyczą gorącego dnia, zamierającego w spokoju, Morawski obejmował rozmiłowanym, pełnym rozrzwienia wzrokiem dyszące fale zboża, wyławiał miłosnym spojrzeniem czerwone kaptury maków i zdawał się całować oczyma te przedziwne cuda wsi polskiej — i modlił się wzrokiem do starych gruszkoskółowatych, rosnących w spokoju od lat dalekich, a teraz szumiących ciachym pogwarem w lekkich falach przedwieczornego zmierzchu. Po chwili zdawał się już nie pamiętać nic z tej rozmowy, którą prowadził przed chwilą. Patrząc na jego kościstą, suchą twarz, na oczy, przepojone tęsknotą, a w tej chwili szybujące w spojrzeniach, jak ptaki, obejmujące żarem rozkochanego serca i lasy, i pola i kwiaty rosnące i wszystko, co przed jego oczyma żyło w barwach przedziwnych, można było zrozumieć wyraźnie to wielkie, święte po trzykroć, umiłowanie ziemi, które pochodnią niewygaszoną gorzało w jego piersiach! Morawski kochał wieść, jak ptak kocha wolność! Miał ją przed oczyma i pił spojrzeniem rozkosz jej piękności i nie nasycił się nigdy tym widokiem, gdyby płomieniem dreszczu, idącym od wnętrza, od korzeni drzew, od zoranych gleb, odurzających go zapachem. W tej chwili — idąc przez las zboża, oddczuwał w całej potęgę tę wielką, tajemniczą a potężną łączność z ziemią. Przypominał sobie straszliwe chwile, kiedy po śmierci żony sprzedawano mu majątek na licytacji, a

potem wszystko, co posiadał jeszcze: meble, graty, pamiątki. Został nędzarzem, ratując dla syna kilka tysięcy rubli, za których częścią kupił w Wiśnicy domek! O rozpacz!... Zatrząsł się w przerażeniu, zobaczywszy oczyma wspomnień siebie samego w małym hoteliku miasteczkowym. Pamiętał szaleństwo swojej boleści, kiedy omdlewał, rozumiejąc głębie swego nieszczęścia. Dzisiaj błogosławił myśl, która mu rozkazała zamieszkać w Wiśnicy nazawsze — i nie rozstawać się z tym, co kochał tak bardzo! A potem objął myślami ukochaną postać Piotra i szeptał cichą modlitwę swego biednego, opuszczonego serca. I nagle z głębin jego duszy trysnęło źródło, jak sноп promieni słonecznych, wielki, gorący krzyk miłości do syna. Zapragnał go mieć przy sobie, objąć ramieniem, przycisnąć do piersi i szepnąć jak dawniej, kiedy był jeszcze dzieckiem, i usypiał, opierając głowę na jego ramieniu.

— Piotruś, synek tatusia?...

Morawski szedł, opierając się coraz silniej na kiju, wlokąc nogi za sobą, jak w omdleniu, starczemi wargami powtarzając ciche wyrazy uwielbienia. Przychodziły chwile, kiedy niespodziewana i nagła fala tęsknoty do Piotra obejmowała go jak dym, zamraczała boleścią, odurzając pragnieniem zobaczenia jego kochanej twarzy. Wówczas przynikał oczy i skarżył się, jak dziecko skrzywdzone, nie mogąc zapanować nad tym uczuciem, które było silniejsze od niego, które orało mu serce rozpacz bez miary. Właśnie w tej chwili, dziewczyna, idąc koło niego, zapytała, zapewne też myśląc o Piotrze:

— A pan Piotr dawno był w Wiśnicy?...

Morawski drgnął, jak człowiek, przebudzony nagle ze snu. Spojrzał na nią niechętnie, jakgdyby podejrzewał, że wkradła się w jego myśli i rozumiała ich tragizm. Dopiero po długiej chwili, kiedy zapytała po raz drugi, sądząc, że nie dosłyszał pytania, odpowiedział głosem, przepojonym żalem:

— Już przeszło rok... jak go nie widziałem.

— Aż rok? — zdziwiła się, nie wiedząc, jak wielką przykrość czyni to słuszne zdziwienie staremu. A święta?

— Był zaproszony, nie mógł przyjechać.

Zamilkli oboje! Zboże się skończyło i wyszli na płaskie pole, zasiane z obu stron gryką. Już niedaleko bielił się ogródek plebanii — i wyrastała z pośród drzew wieżyczka kościoła. W milczeniu doszli do furtki, przed którą stał proboszcz, machając zdaleka chustką.

— Cóż to za spaceru urządzasz z tą smarkatą — zawołał na powitanie — Skowronkowa mało py-

peia na języku nie dostanie z pyłot-

je-wania!
Zo- Morawski pocałował go w ra-
yna- mie i weszli na werandę, gdzie wi-
zęs- dniał stół białą serwetą nakryty, a
zpa- na nim przygotowany i oczekujący
niu- podwieczorek. Zaraz więc zasiedli
nie- do jedzenia, a ksiądz jał, naturalnie,
nia- dogadywać Hani, która, jak zwykle
two- w podobnej sytuacji, obejmowała
zuz- rolę gospodyni, nalewając herbatę,
cia- podając potrzebne drobiazgi, żartu-
m- iąc z księdzem, przekamarzającym
icy- się z nią ustawicznie.

Zwykle Morawski brał żywy u-
dział w tych niewinnych rozmow-
tach, jeszcze bardziej ją drażniąc
żartami, wespół z proboszczem po-
drwiwując z jej dziecinnego wyglą-
du, co stanowiło najczulszą strunę.
Dzisiaj milczał. Wspomnienie o
Piotrze i naiwne zwierzenia dzie-
wczyny oderwały go od tego spo-
kojnego życia w ciszy księżycowe-
go wieczoru, obejmującego mgła-
wym wzrokiem cały świat przed o-
czyma. Gorącym uczuciem swej
miłości, siedł ustawicznie za ślada-
mi syna, jeszcze bardziej rozżalony
pytaniem dziewczyny, o datę jego
ostatnich odwiedzin! Istotnie, Piotr
od jakiegoś czasu zdawał się zapo-
minąć o starym. Dawniej, zwłaszcza
w pierwszych latach opuszczenia
małego domku w Wiśnicy, przyje-
żdżał dosyć często, spekulując urlo-
py, lub korzystając nawet z dwóch
dni świątecznych bezpośrednio na-
stępujących po sobie. Nie było je-
dnak wypadku, aby nie przyjechał
na uroczyste święta Bożego Naro-
dzenia, lub Wielkiejnocy.

Te kilka dni były dla Moraw-
skiego uczta rozkoszy, słodkiem
sam na sam z synem, którego ko-
chał ponad miarę. Przez cały czas
nie rozstawali się z sobą, prowadząc
długie rozmowy w ciszy małego
mieszkanka, lub jeżeli pogoda po-
zwalała — na odległych wyciecz-
kach, powolnym krokiem włączając
się po wązkich ścieżkach lasu albo
po rozmiękłych polach, czernieją-
cych wielkimi łatanami z pod topnie-
jącego śniegu. Szedł zapach rozmię-
kłej ziemi i ten przedziwny, odurza-
jący czar wiosny na polach ciepłe-
go wiatru przynoszących hen z da-
lekiego zachodu przecucie kwitną-
cych kwiatów i promieni słońca!

I oto mijał rok — a Piotr nie
przyjechał ani razu. Morawski mil-
czał, gryzł się, nie wypowiedział-
szy słowa żalu nawet przed probo-
szcem, połykał łzy bolesnej gory-
czy, cierpiąc w ciszy i samotności.
I oto teraz, pod wpływem rozmowy
z Hanią, nowa fala ogromnej, żra-
cej tęsknoty objęła go jak dym i
przysłoniła oczy mgłą cichej boleści.
W milczeniu, nie wypowiedziawszy
słowa, zjadł podwieczorek i przyjął
potakującym skinieniem głowy za-
proponowaną przez proboszcza par-
tyę domina. Zaraz też Hania przy-
niosła drewniane pudełko z wypie-

szczonemi „kamieniami“, a ksiądz
rzekł, mieszając domino:

— Możebyś nam tak co zagra-
ła?

Powtarzało się to co wieczór z
regularnością obrotów słońca. Stary
księżyna rozkoszował się „świeckie-
mi“ piosenkami, pełnymi łzawego
sentymentalizmu, które dziewczyna
śpiewała, brzekając przy tej sposo-
bności na starym, na żółto wypolitu-
rowanym fortepianie. I teraz przy-
jęła zapytanie wuj, jako zwykle je-
go cowieczorne życzenie. Nie na-
myślając się długo, zginęła w głębi
ciemnego pokoju i odkryła żółte zę-
by klawiatury, bielejącej w mrocz-
nym wieczorze, jak ułożony pozio-
mo szkielet...

Właśnie w tej chwili, kiedy do-
tknęła swymi białymi rekoma stare-
go gratu — przed oczyma, jakgdy-
by z ciemności pokoju — wysunęła
się blada, miła twarz Trusi. —
Dziewczyna przymknęła oczy — i
westchnęła. Oczyma swego rozko-
chanego serca widziała wyraźnie je-
go niebieskie, łagodne źrenice, jasne
czoło — i czerwone usta, jakgdyby
szepcące coś do niej, czego narazie
nie słyszała — lecz co pragnęła us-
łyszeć. I nagle w jej własnych my-
ślach zrodziło się słowo: kocham.
Wyszeptała, nie wiedząc o tem,
przypuszczając, że to słowo on —
mówi jej, niewidzialny lecz bliski —
w topieli mroku ukryty, przed jej
serdecznym spojrzeniem, lecz sto-
jący tuż obok, jakgdyby pragnął u-
jąć ją w ramiona i mówić dalej:

— „O jakże bardzo cię ko-
cham, moja ptaszyno jedyna! Czy
wiesz, że myślę tylko o tobie!
Wszystkie rozpacze moje już prze-
szły, minęły i umarły nazawsze.
Dzisiaj kocham tylko ciebie! Cie-
bie jedyną — moja miła, moja dro-
ga“...

— No, czemu tak tam maru-
dzisz? — wołał proboszcz z weran-
dy, wystawiając dubeltówkę prze-
ciwnikowi.

Przycisnęła klawisze, które jęk-
nęły akordem, chrapliwy brzęk po-
rłynął po przez okno na ogród, za-
lany księżycowym światłem i ufo-
nał w mrokach nocy.

„Już miesiac zaszedł, nocy się uspiły.
Lecz któż tam klaszcze za borem“.

— Pan-eś wszystkie tróiki no-
chował — rozpaczal proboszcz, do-
bierając kamienie.

„Pewnie to, pewnie mój Filon miły
Pod ulubionym iaworem“...

— Wygrałem! — rzekł nagle
Morawski, obliczając oczka. — Mam
3 — i „mydło“.

— No, no — dziwił się ksiądz —
Ale to jeszcze nic. Teraz zobaczy-
my! — odgrażał się srogo.

Ułożył nanowo kamienie i za-
częli grać.

W przerwie Morawski skreślił
papierosa i rzekł jakgdyby od nie-
chcenia:

— I cóż proboszcz myśli z nią
zrobić?

— Z kim?

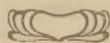
— Z Hanią... Dziewczyna mło-
da i ładna i dobra. Czas za męża!...

Księżyna w odpowiedzi stuk-
nęła z roznachem kamieniem domi-
na o stół.

— A ja, teraz tak zagram:
„Trójka“ dubeltowa. — A potem do-
dał:

— Jeszcze ma czas!

Dalszy ciąg nastąpi.



O KAPITALE.

(Dzieła Erazma Majewskiego).

2

W sposób oryginalny rozwija
autor „Kapitału“ teorię wartości
wbrew poglądom ekonomicznym
Marksa i jego doktryny materyali-
stycznej. „Wartością przedmiotową
jest ogólna ilość pracy fizycznej nie-
zbędna do wytworzenia dzieła z ma-
teriałów dostarczonych darmo przez
przyrodę. Gdy zatem duch stano-
wi czynnik, dzięki któremu siły przy-
rody martwe i żywe pracują na ko-
rzyść ludzi, przeto im więcej potęgi
duchowej zaprzężemy do pracy,
tembardziej staje się ona twórczą,
tem większy jej wynik materyalny,
tem więcej tworzy wartości. Doda-
je tej wartości dziełem ludzkim sa-
ma przyroda *wprzegana przez du-
cha*“ (Str. 204).

Pomijam dalsze uzasadnienie
tych poglądów, dodając tylko, że au-
tor szczerze a stanowczo uznaje dzi-
siejszą teoretyczną bezsilność i cofa
się przed określeniem „rzeczywistej
wartości dzieł ludzkich, gdyż rachun-
ek ten nie da się przeprowadzić z
powodu mnożstwa niewiadomych“
(Str. 214).

Prowadząc następnie szeroką
krytykę i analizę pojęć o pienią-
dzu, o towarze, teorii zysku han-
dlowego, o cenie i *wartości ludzi*, do-
tykając zagadnień drożyzny i pau-
peryzmu, dochodzi autor pod koniec
dzieła do własnej koncepcji kapita-
łu, którego wzrost jest zjawiskiem,
charakteryzującym rozwój twórczej
potęgi ducha. „Kapitał — według
Majewskiego — to istotnie zaoszczęd-
zony owoc pracy, ale w małej tyl-
ko odsetce pracy zwykłych robotni-
ków i wogóle ludzkiej, w największej
w zaś części samej przyrody — pu-
szonej w ruch przez *ludzi potęż-
nych duchem*“ (Str. 373).

Nie mogę wdawać się, jako
skromny referent literacki, w ocenę
szczegółową pomysłów autora „Ka-
pitału“ — zostawiam to socjologom i
ekonomistom. Podkreślam tylko za-
sadniczy rys dzieła Majewskiego —
jego duch syntetyczny i wysoce hu-
manitarny.

Z siłą argumentacji naukowej autor przeciwstawia się teoryom, podsycającym nienawiść klasową i utopiom socjalistycznym, które środkami gwałtownymi chcą znieść ucisk i wyzysk proletariatu, a na gruzach kapitalizmu pragną przeprowadzić jakiś nowy ustrój demagogiczny.

„Współzawodnictwo dusz mocznych i wzrost kapitału duchowego mogą jedynie — według autora — podnieść ogólny dobrobyt i spożywczość mas. To, z czego szeroki ogół dziś korzysta, zawdzięcza tylko w drobnej części sobie, przeważnie zaś duchowej potędze *wyżyn narodu* — i tak zawsze”.

Istotami najbardziej krzywdzonymi i wyzyskiwanymi nie są pracownicy, ale właśnie wielcy wynalazcy, twórcy nowych maszyn, inżynierowie nowych gałęzi przemysłu. Bywa tak, że umierają oni w niedostatku, gdy tymczasem z ich pracy twórczej ciągną korzyści rzesze robotnicze, ich pomysły stają się źródłem przedsiębiorstw, obracających milionami.

* * *

Wymownie obala autor jednostronne poglądy materializmu przyrodniczego, który „apoteozuje tylko pięść, uzbrojoną młotem, a zapomina o głowie, która utworzyła młot parowy”. Materializm ten spełnił wprawdzie swoją rolę „odślaniając istotnie nadużycia wielu pracobiorców”, ale popełnił błąd ciężki, wpajając w szeroki ogół fałszywe przekonanie, „że tylko praca robotników tworzy bogactwa, z których wszyscy korzystają, choć najsłabiej właśnie prawdziwi ich sprawcy” (Str. 297).

Nie zamykając oczu na wyzysk i upośledzenie ekonomiczne mas, jako przyrodnik i zwolennik naturalnej ewolucji przeciwstawia się autor „Kapitału” doktrynom radykalnym, rewolucyjnym, siejącym zamęt, waśń społeczną, potęgującym zdziwienie umysłów wśród proletariatu. Formuły dogmatyczne socjalizmu krańcowego łatwo zniewalają i oszalamiają umysły ciasne lub nieprzygotowane swą jaskrawą kategorycznością i doktrynerskim upraszczaniem zjawisk. Wyzyskiem kapitalistycznym tłómaczą one wyłącznie braki oraz niedomagania pauperizmu, którego przyczyny są różnorodne i skomplikowane.

Wbrew poglądom pesymistycznym, hasłom nieubłaganej walki klasowej, wbrew kosmopolityzmowi Marksa, autor stawia zasadę i podnosi wartość „*ekonomii narodowej*”. Nie rolnictwo i handel, ale siła przemysłowa wpływa na wszechstronny rozwój narodu” (Str. 361). Handel ma znaczenie przeważnie eksploatacyjne i kosmopolityczne, hasłem przemysłu może i powinien być *patryotyzm*, podniesienie energii wy-

twórczej całego społeczeństwa a nie jednej tylko jego klasy.

W dzisiejszej epoce „wybuchu potęgi twórczej społeczeństw przodujących” — narody słabsze muszą wzmacniać i potęgować swe siły, zamiast je szarpać w rozterce wewnętrznej.

Stanowisko przyrodnicze autora i jego metoda, oparta na bystrej analizie zjawisk złożonych — w całym dziele łączy się z szerokim poglądem, obejmującym ogromny horyzont zagadnień społecznych i cywilizacyjnych. Starając się o ścisłość i powagę rozumowania, Erazm Majewski zmusza nieraz czytelnika do mocnego skupienia uwagi — ale wykład swój prowadzi jasno, logicznie, nie otulając myśli w sploty frazeologii mętnej i pretensjonalnej. Posiada on prostotę właściwą umysłom wyższemu i niepospolitym, a jednocześnie *arystokratyzm* ducha, który zawsze tęczo zabarwia najpiękniejsze kwiaty wiedzy filozofii i sztuki. Księga o „Kapitale” po ucieszeniu się wrzawy wojennej zapewne obleci świat, niosąc ludom wśród zamętu i rozbitcia kojące światło prawd nowych, zapalone przez polskiej „oświaty kaganiec”.

* * *

Poświęciwszy całe dzieło sprawie ogólnie ludzkiej, w rozdziale ostatnim Majewski zwraca się do naszych potrzeb i stosunków. Z zapalem szczerego patrioty i obywatela

kraju uczy, jak mamy pracować i wytrwałością zmyć dawne grzechy błędne, ochraniać dobytek narodu i utrzymywać byt naszych ognisk rodzinnych. Jest to ustęp książki napisany z największą mocą przekonania i barwnością słów i rozpadem emocjonalnym. Spokojny myśliciel zamienia się na karnego i przewodnika bratniej gromady. Nie szczędi roszadek prawd gorzkich, „chłostając kochając”, ale nie płwa narodowi w twarz, jak niektórzy satyrycy i pamphletarze. Wyrzuca nam, polakom, że dumni z poezji i sztuki, z kultury kwiatów ducha, pogardzamy rzeczywistością i handlem”, „że idziemy, jak poeci, naprzeciw życiu i gniewa nas nawet, że ktoś ośmiela się nas budzić do rzeczywistości” (Str. 384). Nasza cywilizacja nie jest ciągłą, „każde pokolenie zaczyna wszystko po nowemu i niemal od początku”. Nie szukajmy jednak przyczyn naszej słabości wyłącznie po za sobą, „gdyż sami jesteśmy jej przyczyną, co zaś najważniejsza, *nie jest ona śmiertelna*”.

Zdradzamy bowiem „*żywołność*” *rokującą najlepsze nadzieje*, tworzymy już bardzo dużo i dość ekonomicznie, ale nie umiemy oszczędnie używać”. W naszym położeniu powinniśmy tworzyć więcej, niż używać „nie otaczać się *zbytkiem*, ale wśród dymu fabryk walczyć zajądło z konkurencją, jak zajądło rycerstwo polskie walczyło dawniej wśród dymu krwawych zapasów”.

Józef Kotarbiński.

IAN SOKOLICZ-WROCZYŃSKI.

Na pustej ławce.

Na pustej ławce — kwiat porzucony,
że ktoś na zawsze żegnał się, znak;
zmięta chusteczka, wiersz nieskończony,
któremu zwrotki ostatniej brak.

Mieślicznej róży pąki pobladły
i lekko zadrżał jaśminu krzew —
słyszac, wydarte z serca, co padły
słowa gorące — straszne, jak krew...

Ktoś odszedł smutny — odszedł na wieki,
na pustej ławce zwiędnięty kwiat —
oczu zgasły obłęd powieki,
na białe dłonie trzy klejnot spadł.

O szarym zmierzchu, w ogrodzie w nocy,
rozpacz z mgieł białych desenie łka —
ktoś, skamieniały w bólu i mece
na pustej ławce cichutko łka...

Na pustej ławce — kwiat porzucony —
że ktoś na zawsze żegnał się, znak;
zmięta chusteczka — wiersz nieskończony,
któremu zwrotki ostatniej brak...



Szanujący się obywatel Wielkiej Warszawy przez cały tydzień rozmyślał nad tem, dokąd pojedzie na letnisko, gdy przyjdzie niedziela. Nazw tyle dookoła stolicy i tak po-
nikniętych!...

Radość? (o łaskawości geograficz-
na!). A jeśli tam smutno?...

Mrozy? Brrr...

Otwork?... Fe! fe!

Gardząca banalnością myśl roz-
skłoniła obywatela Wielkiej Warszawy
szybuje na drugi brzeg szarej wody...
Włochy... (och, gdyby prawdziwe!), Py-
ry... (gdyby tak... *neje!*) — — —

Nie, nie nowego nie wymyśli: Kole-
jek jest kilka, imion geograficznych kil-
kadziesiąt, ale miejscowość europejska —
tylko jedna!...

Pociągi do Kanikulina wogóle odcho-
dzą rzadko: za to wolno kursują.

Gdy przyjdzie niedziela, pociągów
jest, oczywiście, trzy razy tyle. Skut-
kiem tego miejsca nigdy znaleźć nie
można.

Ale pragnącego zażyć swobody i
świeżego powietrza warszawianina to
nie zniechęca — przeciwnie...

Na wysokości *Belveder'u* ścieśniona
przestrzeń wagonika zaludnia się wszyst-
kiemi mowami świata cywilizowanego:

Ah, monsieur est ce que — — —

Sagen sie bitte — — —

Wi, Rebięka Salomonowna — — —

Z dźwiękiem rozdzierającym gwizdka
parowozu, z jękiem natrętym a nieusta-
jącym dzwonka alarmowego splata się
to w jedną lubą harmonię melodyi wy-
czasowej... Ach, Szwajcarya!...

„Wójtówka!“

„Powsin!“

Rozlega się otrzeźwiająco. Piekiel-
nie gryzący dym z lokomotywy do re-
szty sprowadza bujającego w tęsknotach
na ziemię ojczystą...

Na peronie po przybyciu na miejsce
oczekuje przybywających cały Kaniku-
lin. Inaczej: pół Warszawy. Gość sto-
łeczny dowolnie wybrać sobie może zna-
iomych, których mu się podoba, i wmo-
wić w takowych (ku ich przerażeniu, jeśli
Dora przedobiednia), że do nich spe-
cjalnie przyjechał. Zresztą, nie robi ni-
komu różnicy, gdyż panie w Kanikulinie
stałe są „wyjątkowo wystrojone“, zaś
mężczyźni zawsze poszukują właśnie
czwartego, który, jak to dobrze, że przy-
jeżdża — — —

...Po obiedzie, o ile niema dobro-
czynnego podwieczorku lub zgoła kon-
certu artystycznego, idzie się w pole.

Dróżka wije się malowniczym wa-
wozem. Zagaj olchowy, rzeczulka, ścierń
świeżo przyorany — zapachy od łąki —
ptaszęta w górze świergocą — paniąka
idzie obok przybysza ze stolicy i pyta:

— Pan jakie woli Irysy: Fuksa czy
Pruszkowskiego?

Zresztą, paniąka może porozmawiać
także o — kinematografie.

— A u nas nie strajkują wcale, aha!
I nie strajkowali. Kanikulin, to nie Wiel-
ka Warszawa, *Dieu soit béni!*... Cztery

wiorsty za rogatką! Tak!... — przybija
z dumą.

Chociaż tak daleko, jednak paniąka
nie tęskni wcale za Krakowskiem-Przed-
mieściem.

— Słońca było tak mało: niedość
się jeszcze opaliłam. Dopiero jestem
brązowa. A muszę być, jak kakao!

Rozmowa płynie dalej czarująco: *o
słoninie, o radnych miejskich (jest ich tu
kilkunastu), o nudach kanikulińskich, o
tem, jak tu wszyscy nic nie robią, tylko
przez cały dzień chodzą na stację ko-
lejową — — —

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

2

POWIEŚĆ.

General byłby zlażał chłopca za
jego zuchwałość, ale Dora, zrozu-
miawszy, że to duch jego niepodleg-
łej rasy przemówił w ten sposób,
uśmiechnęła się tylko pobłażliwie i
zostawiwszy żaluzje niedomknięte,
jak były, wróciła na dawne miejsce.
Ponieważ odezwał się do niej po hin-
dostańsku, więc już w tym języku
zadała mu następne pytanie:

— Oddawna jesteś w Jungpu-
rze?

— Od ośmiu miesięcy.

— A długo tu jeszcze zostaniesz?

— Nie wiem. Dwa lata, rok,
trzy lata. Chcę tu zrobić pieniądze,
a potem wrócę do swego kraju.

— Gdzie?

— Peshawur jest moją ojczyzną.

Pathańczyk jestem — powtórzył z
tą samą niewysłowioną dumą.

— Żonaty jesteś?

— Nie, nie jestem żonaty. Nie
mam dosyć pieniędzy, żeby się oże-
nić.

Przestał pracować i siedział, pa-
trząc wprost przed siebie i w zamy-
śleniu miętosząc palmowe paski w
palcach.

— Gdy zrobię pieniądze, wrócę
do mego kraju i ożenię się. Potrzeba
czterysta rupii dla kupienia żon. Gdy
będę miał czterysta rupii, wrócę i
ożenię się — mówił. — Kupię sobie
dwie żony.

— Dwie — powtórzyła Dora,
opierając podbródek na dłoni i pa-
trząc na niego rozbawionemi oczy-
ma. — Alboż jedna nie dosyć?

Pathańczyk zastanowił się na
chwilę, poczem wstrząsnął głową
stanowczo.

— Nie. Dwie — rzekł z przy-
ciskiem i podniósł dwa palce.

— Ale dlaczego dwie? — nale-
gała Dora.

Było to ciężkie zadanie dla pa-

Obie panie — mama i córeczka —
doprawdy, zrozumieć tego nie mogą! A
dają słowo, że nie pamiętają, żeby kogo
z kanikulińskich letników którego dnia
na którymkolwiek z pociągów nie spot-
kały!

I w tem miejscu „wyjątkowo dziś
wystrojona“ mama przypomina sobie, że
przecież to już najwyższy pociąg na po-
ciąg o siódmej, idący do Warszawy!

— Chodźmy, chodźmy — pociąga
córeczkę — bo się spóźnimy i nie zoba-
czymy, czy są dziś wszyscy...

B. Górczyński.

Pathańczyk wytłómaczyć i ustalić
przyczyny popędów, pulsujących w
jego żyłach wraz z krwią ojców.

Nastąpiła chwila milczenia.

Dora nie spuszczała oczu z tej
pięknej twarzy, na której wyraźnie
wypiętnowała się praca inteligentne-
go ale nierozwiniętego mózgu. Wre-
szcie pathańczyk zdobył się na je-
dynie logiczną odpowiedź, jaka mu
się nasunęła:

— Bo to ładniej — dwie.

Dora zaśmiała się, ale trochę
tylko, by go nie obrazić.

— Ile masz lat? — zapytała.

— Piętnaście.

— Dopiero piętnaście? — pomy-
ślała Dora, przyglądając się jego już
wspaniale rozkwitłej młodości. —
Czy podobna? Nie; ci pathańczycy
i górale nigdy nie orientują się w
swoich latach. Piętnaście! Nie, co
znowu. Musi mieć conajmniej sie-
demnaście lub ośmnaście — dodała
i wzrok jej spoczął znów na jego
wyrzeźbionych rysach i świeżych,
bezwąsych ustach.

— *Tiffin tyar hai* (śniadanie po-
dane) — wymówił z cicha krajowy
służący, który wszedł bez szelestu
do pokoju i stanął teraz przed nimi.

— Idę na śniadanie — rzekła Do-
ra powstając. A ty, śniadałeś już?

— Nie — odrzekł pathańczyk. —
Nic nie szkodzi — dodał, widząc, że
zawahała się. — Ja nie jadam wa-
szego jadła.

Dora zniknęła za kotarą, minęła
obszerny, wysłany dywanem i pię-
knie umeblowany przedpokój i we-
szła do jadalni, jeszcze obszerniej-
szej i bardziej zaciemnionej, niż sa-
lon. Było tu kilkoro szklanych drzwi
otwartych na obszerną werandę, o-
piętą powojami, girlandami pnących
róż i tworzącą niby zielony, pachną-

cy, barwny ekran, który bronił dostępu rozgorzałemu słońcu.

Pośrodku jadalni stał stół, nakryty na jedną tylko osobę, choć mogło się zdawać, że oczekiwani są tu liczni goście, tyle kwiatów, kryształów i srebra błyszczało na śnieżno białym, adamaszkowym obrusie.

Służący w białej odzieży, w czerwonym zawoju na głowie stał nieporuszenie za krzesłem; dwóch innych czekało z przykrytymi półmiskami przy kredensie.

Dora usiadła i z pewną niecierpliwością spożywała swój samotny lunch; siedem dań jednak zajmuje sporo czasu, ona zaś nie odesłała żadnego bez spróbowania, by nie zrobić przykrości kucharzowi, który był nie tylko jej kucharzem lecz człowiekiem, którego odwiedzała w chorobie.

Siedem razy napełniano jej kieliszek, a przy deserze musiała skosztować winogron, umyślnie dla niej sprowadzonych z Kabulu. Bogactwo miewa czasem swoje niedobre strony.

Wilsonowie byli bardzo bogaci, najbogatsi w Jungpurze. Generał w ostatnich czasach podał się do dymisji i oprócz znacznej emerytury miał kilka tysięcy funtów prywatnego dochodu i zarabiał ogromnie na różnych kolejowych spekulacjach, któremi osobiście kierował.

Z tego to powodu stary generał jeździł codziennie do miasta i pilnie przeglądał różne papiery i przyjmował interesantów w gabinecie swego biura; i z tego powodu Dora była codziennie sama, od jedenastej do czwartej, to jest nie zupełnie sama, bo urozmaicały jej tę samotność książki, fortepian, goście i starsza siostra.

Dora miała lat dwadzieścia i była najmłodszą z rodzeństwa, którego matka umarła przed siedemnastu laty. Do dziewiętnastego roku życia Dora chowała się na pensji w Anglii, ostatnie zaś siedem lat przed wyjazdem do Indyi spędziła pod opieką ciotki, na cichem przedmieściu Londynu. Tam to, zamknięta w swoim pokoiku, dnie całe trawiła nad książkami, ucząc się z zapalem młodości, i tam zapoznała się z wielu krajami i językami gruntowniej i dokładniej, niż gdyby te kraje osobiście zwiedziła.

Przy świetle lampy płonącej na jej biurku czytywała się w historię Indyi; pewien hanowerczyk, stary przyjaciel ciotki, odkrył przed nią skarbnę staro niemieckiego języka, a profesor oksfordzkiego uniwersytetu nauczył ją po grecku i po łacinie.

Takie nawskroś teoretyczne wykształcenie, niezależnie od szeregu

braków i ujemnych stron, znakomicie rozwija myślowe władze i wdraża do indukcyjnych dociekań, podniecając jednocześnie działanie wyobraźni.

Wrażliwa z natury i żądna wiedzy Dora z radością przyjęła wezwanie ojca i wsiadła na parowiec z głową pełną nieokreślonych pragnień i oczekiwań. Przedmiotem tych marzeń nie były przecież światowe bankiety, ani bale, ani wielbiciele i konkurenci, lecz miasta Azji i natura, jaką miała zobaczyć, i narody, z jakimi się miała zapoznać.

Gdy w dwa miesiące potem wyładowała w Jungpurze, i gdy ją porwał wir tamtejszego towarzyskiego życia, wprędce poznała jego czczość i pustkę.

Kobiety, z któremi jej przyszło obcować, były to istne strojne lalki, o ptasich mózgach, mężczyźni zaś sprawiali takie wrażenie, jakgdyby kiedyś czegoś nauczyli się wbrew swojej woli, a teraz starali się gorliwie zapomnieć o tem.

Córka generała bywała wszędzie podejmowaną, zapraszaną, bywała wszędzie i prowadziła na pozór takie same światowe życie, jak jej towarzyszki; tylko jej błękitne, uśmiechnięte oczy obserwowały i bezlitośnie taksowały wszystko, na co patrzyły, z pod długich, ciemnych rzęs, a pod jej uprzejmem obejściem, które jej wszystkich jednało, kryło się bezbrzeżne lekcewanie.

Jej śliczna, wiotka postać ukazywała się wszędzie: na partych tenisa, pomimo, że Dora nie uczyła się nigdy grać w tenisa; na każdym prawie obiedzie proszonym, na każdym pikniku, na każdym balu i we wszystkich tych środowiskach zachowywała się bez zarzutu: śmiała się, żartowała, słuchała uważnie płytkich, banalnych rozmów, usiłując szczerze przystosować się do ich bezmyślności.

Czasami tylko mawiała do siostry:

— Na miłość Boską, Lolu, nie wierzyłabym nigdy, że ludzie mogą być tak bezdennie idyotyczni. Pamiętaj, jak Hipolit pragnął wymyć sobie uszy, by je oczyścić z namów Fédry. Ja również chciałabym wymyć z moich tę okliwą czczość, jaką mi je dzisiaj napełniono.

I stopniowo Dora rozsyłała coraz mniej zaproszeń i coraz mniej wzajemnie przyjmowała, aż gdy parę bali odbyło się bez jej udziału, generał uznał za stosowne wrócić się w tę sprawę.

— Oni mnie tak niewystawienie nudzą — odrzekła Dora, spoglądając na ojca z uśmiechem.

Leżała na szesłagu, na ocienionej palmami werandzie, w postawie

wyrażającej zupełne rozleniwienie, ale z perską Szach-Namą w ręku, myślą rozbudzoną i pracującą, po gęstwiną loczków wieńczących czoło.

— Kto taki? — zapytał generał.

— Ci wszyscy, których się spotyka na balach, są tacy głupi.

— Bo też ty jesteś przemądrzałą, moje dziecko — rzekł generał cierpko.

— Och! być przemądrzałą, mag potrzeby Jungpuru, to dosyć łatwo — odparła Dora z pogardliwym uśmiechem. — Ale przecież ojczulkowi nie nie szkodzi, czy ja bywam na balach, czy nie?

— Oczywiście, chodzi mi tylko o ciebie. W każdym razie, szkoda, żeś tak odbiegła od przeciętnego typu, żeś taka niepodobna do ludzi, wśród których obracać ci się wypada. Nauczyłaś się wymagać za wiele więcej, niż znaleźć można. Szkoda.

I generał popatrzył na córkę leżącą na szesłagu, tak wdzięczną, tak powabną, tak ślicznie ubraną, tak w jego oczach jakby stworzoną do flirtu, tańca i królowania za biesiadnym stołem.

Ta córka martwiła go zawsze trochę; wiedział bowiem, że wysoko rozwinięty umysł jest zawsze wielce kłopotliwą rzeczą i według niego ludziom daleko lepiej wiodło się bez tego uciążliwego balastu. Byłby wołał i zawsze to Dorze powtarzał, że by była próżną, lekkomyślną i powierzchniową wykształconą, „jak inne dziewczęta w jej wieku“.

Dora była już w Indjach od kilku miesięcy; w ciągu tego czasu dwie jej rówieśnice zaręczyły się, jedna wyszła za mąż. O nią nikt się jeszcze nie oświadczył z pomiędzy otaczających ją licznych wielbiceli.

Ale nie było w całym Jungpurze jednego mężczyzny, któryby się ośmielił na ten krok stanowczy, taki chłód niemal odpychający wiał z tych błękitnych oczu i taką opinię nieprzystępną i niezdobytą wyrobiła sobie wprędce piękna generałówna w towarzyskich kołach.

Był tam niejaki Jerzy Thompson, pomocnik ówczesnego Namieśnika, młodzieniec zamożny, niezależnie od świetnych dochodów, jakie mu przynosiło jego stanowisko, i z dobrej rodziny.

Wkrótce po swoim przyjeździe Dora zauważyła go na tenisie. Miał jasną, czysto angielską, kwitnącą zdrowiem urodę i w twarzy wyraz, który zastanowił piękną pannę.

— Kto to taki? — zapytała; odpowiedziano jej: „Pan Thompson“.

Tego wieczora po obiedzie, Dora rozmawiając z ojcem o osobach, które zaprosi na pierwsze swoje

przyjęcie nadmienila, że pragnęłaby
widzieć i pana Thompsona w liczbie
gości, na co ojciec skwapliwie się
zgodził, dodając:

— Bogaty chłopiec; bardzo bo-
gaty, dobre stanowisko.

— A! — rzekła Dora obojętnie.

— I w służbie cywilnej, uważasz.
Dora otworzyła oczy z zajęciem.

— Doprawdy! — rzekła.

Wiedziała, jak wysokie są wy-
magania w cywilnej służbie Indyj-
skiej i że kto wytrzymał próbę egza-
minów w tym kierunku, musiał posia-
dać niepoślednie wykształcenie.

Gdy Thompson złożył wizytę w
domu generała, pozostał tam dłużej,
niż przeciętni goście i od tego czasu
bywał często na obiadach i na ten-
nisie.

Pewnego dnia generał zapytał,
czyby od niechcenia, czy Dora ma ja-
kie określone zamiary względem
Thompsona, na co Dora podnosząc
oczy z nad książkę odrzekła spokoj-
nie:

— Nie oświadczył mi się i do-
brze zrobił, bo bym go nie przyjęła.

— Nie! — powtórzył generał. —
Oczywiście! Nie znajdziesz człowie-
ka, któryby odpowiadał twoim wy-
maganiom, tego należało się spodzie-
wać. Zapewne na pierwszej wizycie
poddawaś go egzaminowi z klasycz-
nych nauk.

— Tak — odrzekła Dora — i
przekonałam się, że zapomniał
wszystko, czego się uczył, i że był
z tego dumny. A nawet tej odrobiny,
jaka mu pozostała w mózgu, chce się
widocznie pozbyć jaknajprędzej za-
pewne, aby mieć więcej miejsca dla
bigoteryj i przesądów, jakimi jest
nadziany. To nie jest inteligentny
człowiek. Uczył się, ale nigdy nie
myślał, jak zresztą większość angli-
ków.

— I dlatego, że ktoś zapomniał
trochę greczyzny i łaciny, zamykasz
oczy na jego inne przymioty.

— O! to nie chodzi o greczy-
znę — odparła lekko Dora, kołysząc
się na bujaku — ale on cały jest, jak
nakreślony mechanizm. Wczoraj po
obiedzie rozmawialiśmy o różnych
sposobach życia i zapytałam go, ja-
kie jest jego pojęcie o „życiu”. „Ano”
rzekł „trzeba przedewszystkiem pra-
cować i wypełniać swoje obowiązki”.
„Tak” odrzekłam „a potem?” „Po-
tem? Potrzeba rozerwać się trochę”.
„Tak” przyznałam „a potem jesz-
cze?” „Potem” powtórzył z widocz-
nem zakłopotaniem. „O! potem... po-
tem... trzeba iść spać”.

Generał zaśmiał się, ale z przy-
musem. Był to w jego pojęciu do-
skonale i zdrowy sposób życia i cze-
go tu było chcieć więcej? Ale on ni-
gdy nie rozumiał swojej córki.

— To jest czysto angielski po-
gląd — ciągnęła dalej Dora — i
Thompson jest typowym anglikiem.
To też pomyślałam sobie: To właśnie
życie, do jakiego jesteś zdolny.

Generał czuł się trochę nieswój
po tej rozmowie; nie żeby mu cho-
dziło o Thompsona, lecz, że te prze-
błytki charakteru Dory napępiały go
niepokojem o jej przyszłość.

Skończywszy lunch Dora wróci-
ła do salonu z uczuciem artysty ma-
jącego ujrzeć znów jakieś wyjątko-
wo piękny obraz. Znalazła Pathań-
czyka tak, jak go zostawiła, siedzą-
cego na ziemi nieruchomo i cierpli-
wie splatającego maty. Piękna pan-
na przyniosła ze sobą dziesięć ru-
pii *).

— Zarobił je swoją pięknoscia —
pomyślała z pewnym cynizmem — a
za dwa dni roboty dostanie trzy.

Usiadła znów na ławeczce w po-
bliżu. On rzucił jej krótkie, ukrad-
kowe spojrzenie, poczem wzrok opu-
ścił na robotę.

— Tu jest dziesięć rupii dla cie-
bie — rzekła Dora, przyglądając mu
się bacznie.

Pathańczyk podniósł oczy, prze-
stał pracować, ale siedział bez ruchu
i nie brał pieniędzy. Dora musiała
pochylić się i położyć dziesięć rupii
na podłodze tuż przy nim.

— To za to, że jesteś taki pię-
kny — rzekła z utajonym sarkaz-
mem.

Pathańczyk odrzucił głowę w tył
i zaśmiał się szczerym, serdecznym
śmiechem, pokazując białe, równe zę-
by. Był to nowy objaw piękności.
Jego twarz nieco surowa i kamienna
w spokoju, nabrała teraz niewysło-
wionego wdzięku, gdy wesołość zła-
godziła klasyczną ostrość rysów, a
uśmiech wygiął poważną linię za-
mkniętych ust.

— Weź je — ponowiła Dora na-
legajaco — tylko zamieć o tem. Nie
mów nikomu, że ci je Miss Sahib
dała.

Pathańczyk skinął głową, po-
czem zawiązał rupije w róg czerw-
onej szarfy i wziął się znów do robo-
ty. Nie znać po nim było ani zdzi-
wienia, ani wielkiej uciechy, nie po-
dziękował jej nawet.

Dora, w obawie aby ojciec nie
złajał go za opieszałość, jeżeli będzie
mu zanadto przeszkadzała, wzięła ze
stoliczka hindustańską książkę, po-
wiedziawszy mu, aby pracował da-
lej.

Po niejakiem czasie Pathańczyk,
nie zmieniając postawy, dał małego
susa, zupełnie jak żaba i znalazłszy

*) *Rupija* — moneta wschodnio-indyj-
ska wartości mniej-więcej rubla. (Przyp.
tłóm.).

się w ten sposób tuż u jej kolan cie-
kawie zajrzał w książkę.

— Po jakimu to? — zapytał.

— Po hindustańsku. Umiesz ty
czytać, pisać? — rzekła Dora.

Wstrząsnął przecząco głową.

— To musi być ciekawe — zau-
ważył — chciałbym umieć czytać po
hindustańsku. I po angielsku także.
Znam litery. A, B, C, D, F.

— E, — poprawiła Dora.

Roześmiał się; powtórzył „E”.
poczem szybko, niedbale, wyrecyto-
wał cały alfabet już bez żadnej zmył-
ki i znów dawszy małego susa
wstecz w siedzącej postawie wrócił
na dawne miejsce i zabrał się do ro-
boty.

Dora popatrzyła na niego.

— Młody, niedbały, nieoświeco-
ny — pomyślała — ale inteligentny.
I mimowoli zestawiała to żywe, zacie-
kawione spojrzenie, tę chęć naucze-
nia się znamionującą wrodzone umy-
słowe zdolności ze wzrokiem, ja-
kim przed paru tygodniami młody
Thompson spozirzał na tę samą
książkę.

— Co pani czyta, miss Wilson?
Po hindostańsku? Jak panj może za-
przątać sobie umysł temi niechlujne-
mi językami?

— Niechlujnemi? — powtórzyła
Dora.

— A tak... bo wszystko, co ma
jakiś związek z krajowcami, wydaje
mi się niechlujnem.

Duszne, pałace indyjskie popołu-
dnie mijało, a Dora i Pathańczyk roz-
mawiali i śmiali się w zacisznym,
przyćmionem wnętrzu alkowy. O
czwartej zaledwie połowa podłogi
była skończona, a jednocześnie dał
się słyszeć turkot kół powozu gene-
rała. Dora powstała.

— Idziesz, pani? — zapytał Pa-
thańczyk, podnosząc na nią oczy.

— Tak muszę.

— To i ja pójdę także — rzekł,
zrywając się na równe nogi. — Ju-
tro nie przyjdę, bo to niedziela.
Przyjdę pojutrze zrana.

Dora schyliła głowę. Niezależ-
ność, swoboda jego tonu nie zdziwiły
już jej tym razem.

— Salaam — rzekła, wychodząc.

— Salaam — odpowiedział i prze-
prowadził ją wzrokiem.

Dora przywitała się z ojcem i
zaprowadziła go do jadalni, gdzie je-
go osobisty służący przygotowywał
mu mrożony napój i sandwiche.

Posiliwszy się i orzeźwiwszy,
generał powiedział córce, aby poszła
przebrać się na zwykłą, przedwie-
czorną przejażdżkę.

— Zawsze się tak długo stroisz —
rzekł — ja będę gotów za dziesięć
minut.

Dora poszła na górę i włożyła muślinową, błękitnym jedwabiem i złotem haftowaną suknię, paryski, słomkowy kapelusz, przybrany pękiem dzikich róż i przez pół godziny naciągała długie rękawiczki z cielistej, gemzowej skórki, które kosztowały osiem rupii.

Poczem zeszła na dół. Ojciec już siedział w powozie, czekającym pod wysokim, kamiennym, pnączami okrytym portykiem. Służąca podała jej zabawkę uczynioną z kości słoniowej i koronki, którą nazwała parasolką. Dora zajęła miejsce obok ojca, powóz potoczył się wartko pod dogrzewającą jeszcze silnie promieniami zachodzącego słońca.

O tej godzinie, przeznaczonej na spacer modnego świata, gościniec zapelniony był powozami zarówno krajowców, jak europejczyków, a gdy faeton generała Wilsona szybkim truchtem włączył się w szereg, nastąpił istny deszcz ukłonów głowami i kapeluszami na wszystkie strony.

— Doprawdy — rzekła Dora, opierając się o poduszkę powozu z lekkim wyrazem szyderstwa na swej ładnej, białej twarzy — powinno się brać sługę, któryby się za nas kłaniał. Mnie już kark zdrętwiał zupełnie.

Był to wieczór, w którym w ogrodzie miejskim grywała orkiestra. Ogród miejski Jungpuru jest istotnie bardzo piękny. Klomby kokosowych palm, wdzięcznie rozkładających swe gibkie, długie liście pod Indyjskim słońcem i kąpiących się w słonawym, morskim powietrzu; białoróżowym kwieciami okryte frandżipani; złociste babule, szkarłatne hibiskusy, karmazynowe granaty — cała ta tropikalna roślinność; nagromadzona tu w umiejętnym zestawieniu, ośniewa bogactwem barw i przepychem istic królewskiej bujności.

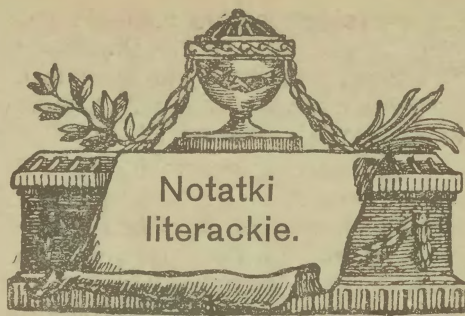
Nagle Dora wyprostowała się.

— Na co się tak zapatrzyłaś, Doro? — zapytał generał cierpko, gdyż trzech kąpiących od złota oficerów przejechało obok powozu, a piękna panna nie oddała im ukłonu.

— Na nic! — odrzekła Dora, osuwając się znów na poduszki.

Daleko, w owej błyszczącej alei granatów szła środkiem gromadka krajowców, wszystko młodziutkie chłopcy w białych, luźnych bluzach o długich, szerokich rękawach, w szkarłatnych i błękitnych zawojach na głowach.

Dalszy ciąg nastąpi.



Konstytucja 3-go maja.

Mnożą się wciąż przyczynki dotyczące naszej Konstytucji majowej. Znów zjawily się prace: p. Z. Niklewskiego p. t. „Co każdy polak o Konstytucji 3-go maja wiedzieć powinien“, prof. dra Stanisława Kutrzeby rzeczowo oraz jędrnie napisana broszura „Konstytucja 3-go maja 1791 r.“, oraz wydano odczyt Henryka Mościckiego, który był wygłoszony w sali kolumnowej ratusza warszawskiego w 125-tą rocznicę „Konstytucji 3-go maja“. Wszystkie te prace doskonale nadają się do popularyzacji idei Konstytucji majowej. Broszura zaś prof. dra Stanisława Kutrzeby wyróżnia się wielkiem opanowaniem przedmiotu oraz rzeczowoscia wykładu.

Waleryan Łukasiński.

P. Edmund Jeziński napisał przystępną, popularną broszurę o Łukasińskim. Jest to biografia oparta na pracy Askenazego. Poprzedził ją p. Jeziński wierszem Z. Krasieńskiego p. t. „Ostatni“. Dwutomowa praca Askenazego nie nadawała się, ani nie mogła być przystępna do szerokich mas, już chociażby ze względu na cenę, a jednak wiadomości w niej zawarte tak głęboko sięgają w rdzeń naszego życia porzobiorowego, że należy przywitać broszurę p. Jezińskiego z uznaniem. Podobizna Łukasińskiego uzupełnia tę interesującą, popularną i tania książeczkę.

Na stanowisku.

Dowcipny obserwator życia wielkomięskiego Warszawy, Włodzimierz Perzyński, wydał w książkowym wydaniu powieść swoją „Na stanowisku“, drukowaną w roku ubiegłym w naszym dodatku „Romansie i Powieści“. Powieść ta w wydaniu książkowym zyskuje, gdyż złośliwe, satyryczne obserwacje Perzyńskiego o politycznej misji p. Jabłeckiego, czytane jednym tchem, nabierają właściwego reliefu. „Na stanowisku“ maluje przytem jeszcze stosunki polityczne w Warszawie za czasów rosyjskich, kiedy życie płynęło wązkim strumieniem kawiarnianych i buduarowych sympatii. Wprawdzie już wtedy zdarzały się różne dolegliwości natury gospodarczej, ale rozmowy toczyły się w towarzystwach nawskroś idealne. Ten idealizm rozmówkowy, dyalogi o niczem — uchwycił Perzyński w swoim „Na stanowisku“, pokazując oblicza z tej racji damusi wcale realnej Joli, dziennikarza Stetkiewicza, no i samego bohatera, p. Jabłeckiego, marzącego po za wszystkimi koncepcjami

mi politycznymi o naciągnięciu na pieniądze zamożnej ciotki. „Na stanowisku“ czyta się przyjemnie, lekko. Nie raz przytem uśmiechnie się czytelnik, Perzyński jest pobłażliwy dla swoich bohaterów.

Portret Doriana Gray'a.

Teatr Polski wystawił przeróbkę powieści „Oskara Wilde'a p. t. „Portret Doriana Gray'a“. Powieść zaś samą miłośny już przyswojoną polszczyźnie tłumaczeniu p. Maryi Feldmanowej, ale przekład ten jest wyczerpany. Obecnie wydano więc w bibliotece „Muzy“ powtórnie tę powieść w przekładzie Tadeusza Jaroszyńskiego, co powinno zachęcić do przeczytania jej tych bywalców teatralnych, którzy nie znali oryginału. Bo powieść jest zupełnie inną z ducha niż przeróbka p. Bentley'a. Wogóle przeróbka ta daje mało pojęcia o subtelnych obserwacjach artystycznych i życiowych króla życia, lorda Paradoxa, Fingalla O'Flahertie Wyllys Wilde'a. Przekład uprzedził wstępem, rzucającym światło na życie i twórczość poety, p. Tadeusz Jaroszyński. Do książki dodano też podobiznę Oskara Wilde'a.

Szanowny Panie Redaktorze!

W Nr. 33 *Świata* na stronicy ostatniej znajduje się sprawozdanie z mojej książki p. t. *Ilia Muromiec*. Szanowny sprawozdawca nazywa tę pracę „przekładem“ i odpowiednio ją traktuje. Jest to określenie niezupełne. Poemat *Ilia Muromiec* jest samodzielnem opracowaniem motywów, zawartych w eposie wielkoruskim, czyli w tzw. „bylinach“. Celem tej pracy było obrazowe przedstawienie tej wielkiej zagadki, jaką jest Rosja. Żywot Ilia Muromca, który ją symbolizuje, płynie pomiędzy dwojgiem *bezwładów*: pierwsza jego nieruchomość, to rodzaj paraliżu długotrwałego; z tego bezwładu Ilia wstaje i popełnia szereg czynów bohaterских, często póżobłakanych, a narchicznych i prowadzących do wyników wprost przeciwnych zamierzonemu celowi; dokoła tych czynów anarchicznych toczy się akcja zbrodnicza kniazia moskiewskiego, akcja krwawa, zawsze rzekomo prowadzona, „aby prawdę uwiecznić na Rusi“. — I wkońcu Ilia Muromiec w ostateczny wpada bezwład: kamienieje — i w śnie kamiennym trwa... Zaznaczę dodatkowo, że ten ostatni sen kamienny przypomina poniekąd sen bezwładny z ostatniej sceny *Wesela*.

Autor nie korzystał bynajmniej z tego, że można teraz swobodnie „wymyślać na moskali“; szło mu raczej o przedmiotowe zrozumienie tej tajemnicy, jaką jest Moskwa. Z odosobnionych motywów bylin — stworzył całość zamkniętą. — W stylu, oczywiście, trzymał się charakteru epiki ludowej, wielkoruskiej — aby nadać swemu dziełu ton odpowiedni.

A. Lange.

